

Aleksander Sowa

Jeszcze jeden dzień w raju



Opole 2011

Nie czytaj, jeśli nie chcesz, aby Twoja czerwona sukienka była jeszcze czerwiejsza. Nie czytaj, jeśli nie chcesz mnie znienawidzić.

Dziewczynie o Perłowych Włosach

1.

Dworce są bardzo do siebie podobne. Budynek z czerwonej cegły, betonowe perony, żelazo torów i kabli; zimą gawrony, szprycerzy i bezdomni. Ale stojąca na peronie dziewczyna nie zastanawiała się nad tym. Myślała o zupełnie czymś innym, odległym jak oceaniczne antypody. Z kontemplacji wyrwały ją słowa:

– Stacja Opole Główne, stacja Opole Główne.

Z holu dworca patrzyła na wyjście. Rzuciła nerwowe spojrzenie na kolejowy zegar, identyczny jak zegary na innych dworcach.

– Jeszcze nie czas, jeszcze muszę poczekać – myślała. Stała na wschodnim krańcu peronu, w miejscu, z którego doskonale widziała, pozostając jednocześnie niewidoczną. Zapaliła papierosa i się zaciągnęła.

– Mógłbyś mnie poczęstować? – przestraszona aż podskoczyła. – A... Bardzo panienkę przepraszam... Nie zauważyłem – bezdomny, zupełnie niespieszony, że

wziął ją za chłopaka, przyłożył zgrubiałą dłoń do popekanych ust i ciągnął dalej – nie poczęstowałaby mnie pani papieroskiem? Skoro biegasz sobie dla zdrowia wieczorami i tak ci ten papieroszek jest chyba niepotrzebny, a mnie przyda się bardziej – mamrotał mieszając formy grzecznościowe.

– Zjeżdżaj – warknęła.

– O! Nie musisz być taka niegrzeczna, nic ci nie zrobiłem. Mimo, że sama sporo wypila, poczuła, że śmierdzi. Zalaływało od niego alkoholem, odorem brudu, męskiego potu i moczu. Zemdlilo ją.

– Spierdalaj, mówię, bo zawołam sokistów! Nie rozumiesz? – wrzasnęła.

– A, rozumiem, rozumiem – bezdomny z niechęcią odwrócił się i machając obojętnie ręką, mruknął ni to do siebie, ni do niej. – Nie musisz być taką suką! Chciałem tylko papierosa.

Dziewczynę rozdrażniło to jeszcze bardziej, ale nie odezwała się. Nie chciała, aby ktokolwiek ją teraz zobaczył. Spojrzała raz jeszcze na zegar i zatrzymała błękitne oczy na dużej wskazówce. Poczula nieprzyjemny dreszcz. Wieczór był chłodny. Przemarzła w sportowym stroju. Nie padało, a mimo to powietrze było ciężkie od wody. Przypominało tchnienie wodospadu. Mgła stopniowo gęstniała, rozmywając i wymazując

kontury rzeczy bliższych, czyniła jednocześnie te dalsze nieistotnymi dla źrenic. Przyćmione światło dworcowych lamp rzucało parasole upiornego blasku.

Wtem usłyszała kroki. Dochodziły od strony wejścia. Naciągnęła kaptur mocniej na głowę i skryła się za filarem. Mrugająca i żarząca ostatkiem sił świetlówka, co chwilę skrywała ją na kilka sekund w nieprzeniknionym mroku dworcowego zaułka.

Czyjeś stopy cichutko stukwały w posadzkę. Kobieta powoli zbliżyła się do krawędzi peronu. Wszystko szło zgodnie z planem – sądziła. Miała wrażenie, że zastawiona przez nią pajęcza sieć powoli napręża się i za chwilę ugnie pod ciężarem ofiary.

Czekała na Bruna. Nieznajoma się nie liczyła. Nie liczyła się jej tożsamość, choć w istocie powinna. Nagle w ciszy zabrzmiały kolejne kroki. Ukryta za filarem Beata spostrzegła cień idącego mężczyzny. Jej serce забиło mocniej. Chociaż nie widziała twarzy, a jedynie zarys, natychmiast poznała mężczyznę. Przynajmniej tak jej się wydawało. To był Bruno. Bo to on miał być. Przywarła plecami do drewnianego filara, oddychając głęboko. Dziewczyna z peronu i Bruno tymczasem się zbliżyli. Nie tego się spodziewała. Targała nią zazdrość, złość, rozczarowanie i nagle, jak zastrzyk adrenaliny, chęć zemsty. Alkohol potęgował doznania. Wieczór wydawał

się jej magiczny. Pusty dworzec, mokre od mgły, gęste i ciężkie powietrze. Wszystko sprawiało wrażenie snu.

Miała nadzieję, że Bruno nie przyjdzie, że będzie tu sama, ale... Przyszedł i rozmawiał z kimś. Był inny, zresztą było to teraz nieważne. Ważne, że przyszedł. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby jego słowa były prawdziwe. Wiedziała to doskonale. Ta myśl rozrywała jej serce, jakby wypełnione było nieustannie wybuchającym dynamitem.

– Międzynarodowy pociąg relacji Kraków Główny-Berlin ZOO wjeżdża na tor pierwszy przy peronie drugim – zapowiadacz oznajmił – przy wjeździe pociągu...

Potrójne światło hamującej wprawdzie, ale nadjeżdżającej z ogromną prędkością elektrycznej lokomotywy zbliżało się z loskotem. Gdy do jej uszu doszedł pisk i ziemia zadrżała, już się nie kryjąc, spojrziała na peron. Stali kilka kroków od niej.

Zdrajca i jego suka – pomyślała. Złość targала nią jak burza. Alkohol mnożył doznania. Poczula, że narkotyk zaczyna działać. Zapadła się poniżej poziomu dworca. Poczula uderzenie masy powietrza jakby ogromna, kilkudziesięciometrowej wysokości fala, przewaliła się przez perony. Mgła odcięła wszystko, co było bez znaczenia. Była tylko ona i Bruno. I pociąg. Nagle czas się

zatrzymał, jakby po wciśnięciu pauzy, i życie zamarło. Tylko ona i pociąg mogą się poruszać w tej chwilowej czasoprzestrzeni – myślała. Zrobi to teraz. Szybko, po cichu. Tak, by nikt nie widział. We mgle.

– Tak, zrób to – usłyszała. – Na torach, na dworcu. Tam, gdzie nikt nie widzi. Jak we śnie. Teraz. Zanim czas znowu ruszy w pęd ku przyszłości, sprawy już nie będzie. Nie będzie istniała. Bez zbędnych emocji, bez wyboru, obojętnie, w końcu i tak to nieważne, bez hałasu, niczym ostrze losu – pulsowało, rozsądżając czaszkę. Zrób to. Tak, by zabić.

Beatka jak gepard wraz z hukiem wtaczającego się cielska lokomotywy, runęła na nich. Pchnęła mężczyznę wprost pod nadjeżdżającego kolosa. Obiema małymi dłońmi z rozwartymi palcami uderzyła w plecy i by nie stać się ofiarą, równocześnie się odbiła, lądując na płytach peronu.

Mężczyzna strącił równowagę. Wykonał jeszcze w powietrzu niepełny obrót. Zabójczyni ukazała się jego twarz. Teraz go poznała. W ułamku następnej sekundy w ciało na torach uderzyła rozpędzona lokomotywa.

Ekspłodował czerwony kolor i odgłosy dworca zlały się w cichy, jednostajny dźwięk. Krew była wszędzie. Na niej. Na rękach, twarzy, we włosach. Zlepiała w ciężące jak cierniowa korona strąki. Czowała krew na war-

gach, jak miesza się ze śliną i płynie po brodzie. Była niczym rzeka płynąca wraz z pociągiem. Lawą z potrzaskanej czaszki, trzewi, kończyn i płuc.

Nagle jej ciałem szarpnął dziki spazm. Wygięła się w nienaturalnej pozie i równie nienaturalny wrzask wydobył się z jej wnętrza, mieszając się z odgłosem zatrzymującego się składu. Dokonało się. Tak, jak chciał los, wybierając ostrzem przeznaczenie, którego uniknąć nam się nie uda, choćbyśmy próbowali oszukiwać miłością, zemstą, zdradą czy namiętnością.

Tak Bruno miał zginąć.

2.

Słowa te niech będą testamentem mojej miłości, mej duszy, pożogi łądzwi, grzechu, namiętności i żądy. Czy naprawdę są ludzie, którzy nie zasługują na kogoś, dla kogo będą jedynymi w całym wszechświecie? Na kogoś, dla kogo słowa i dotyk będzie najważniejszy? Na kogoś, kto będzie tęsknił za zapachem, smakiem i wibracjami strun głosowych?

– Należysz do tego typu istot, których nigdy nie będę miał dosyć – zwykł mówić o niej. Była wyjątkowa. Gdybyście byli ślepi, trzeba by być w trzech miejscach, aby ją opisać. Po pierwsze, w lesie pachnącym desz-

czem, takiego koloru były jej oczy, gdy płakała. Potem nad morzem, w czasie sztormu, aby zrozumieć jak patrzy, gdy w jej oczach jest w nich wściekłość. Na pustyni, po trzecie, gdy zachodzi słońce by dostrzec ogień, który palił się, gdy patrzyła z miłością. I gdyby na tej samej pustyni schylić się i nabrać ciepłego, spalonego słońcem piasku w dłoń, to przesypując go między palcami można by poczuć kolor jej włosów. Kolor piaskowej burzy.

Taka była pierwszej nocy i taką chciałby na zawsze pozostać. Z dzikim spojrzeniem z pod mokrych, niesfornych kosmyków, które przykleiły się do policzków i ust. Oczu, w które Bruno patrzył godzinami, by utonąć w nich jak marynarz w morskich odmetach. A on patrząc w nie co dzień, nie wiedział jakiego były koloru. Aż do ostatniego dnia.

– Jakiegoż bowiem koloru są oczy, kiedy mają barwę deszczu? – pytał.

Na jej ustach, one tak cudnie smakowały, milion słów wyrytych jak przykazania. Słowa niepotrzebne, ważne, wielkie i małe... Tyle niewypowiedzianych, tyle wypowiedzianych spojrzeniem, gestem, dotykiem. Tyle niepotrzebnie. Nocy spełnionych zapachem zanim dotknął ją po raz pierwszy spojrzeniem bardziej gorącymi od rozgrzanej lawy.

Była jak skała, o którą rozbijali się wędrowcy, choć chciała pokazać drogę w ciemnościach. Poprowadziła go jak dziewczynka starca, by zapłacił za przewóz Charonowi. On nie był starcem, ona nie była dziewczynką. Nie przepłynął Styksu. Nie, wtedy jeszcze nie, choć stał już u jego brzegu.

– Trzecia litera alfabetu, siódma, pierwsza, dwudziesta siódma i znów pierwsza. Moja Beatka. Mój Duszek. Moje wirtualne zauroczenie. Moja najcudowniejsza kochanka. Moje życie, mój grzech, mój ból w lędźwiach, pożoga, dusza i moja... Niespełniona nadzieja. Beata. Beti. Atka i Bee – szeptał.

– Taka bliska, daleka... Taka, nieprawdziwa? Czy to sen, czy śniłem? Czy była to prawda? – pytał. Była rzeczywista czy moim marzeniem? Była, jest czy będzie?

Teraz wiem. Dziewczyna o Perłowych Włosach, pachnąca ciepłym, ożywczym wiatrem namiętności jak bryza. Perlistowłosa. Duszek. W samych tylko skarpetkach, by ogrzać wiecznie zimne stopy. Z butelką leżącego w madziarskich winnicach wina aszu w dłoni. Oświetlona w półmroku ciepłym światłem świec. Smukłe palce, które wystukiwały na klawiaturze zaklęte w znaki słowa. Aksamitny i ciepły, jak żar ognia w kominku, głos. Ogromne, skryte za wachlarzem rzęs oczy. Na-

miętność, żądza, pożądanie, fascynacja, nienawiść, zazdrość i... Miłość?

– Co wybrać, wysoki sędzie? Tego straszego dnia na ziemię nie przyszedł świt. Słońce nie wzeszło. Spało zmęczone na łonie głębokiego, zielonego jeziora. Posmutniał tego ranka jak każdy, który traci część siebie, gdy słońce nie wschodzi. Aż się zlitowała i usłyszał:

– Chodź, pokaż mi niebo. I oto, po dniach pełnych mroku nagle rozbłysło światło jak piorun. I znów wszystko było takie jak dawniej, zielone i piękne. Ujrzał ją, najpiękniejszą kobietą na świecie, cudowną, wyjątkową, wspaniałą i dziękował temu, kto ją stworzył. I niech będzie to Bóg, Jahwe, Kriszna, Wisznu lub ktokolwiek inny.

Stworzył Perlistowłosą wychodzącą z czystych wód Balatonu. Ze spienionych burzą fal a woda spływała po jej opalonej skórze wielkimi jak łzy kroplami. W każdej zakłęte było słońce i światło na miliony lat. Stała po mokrej trawie. W dłoniach trzymała białe kamienie, wskazując wędrowcom drogę do domu. Był tego ranka zagubionym wędrowcem. Usiadła, by ogrzać zimne od rosy stopy żarem jego ciała. Położyła mu dłonie na oczach, by zapomniał o złym czasie, by zobaczył światło. Jej światło. Wtulila się w jego ciało jak puzzel w drugiego, który tylko do niej pasuje z pośród tysięcy i

glaskał ją, aby mogła zasnąć. Zabrał jej wszystkie nie-dobre sny, by mógł zostać sam z marzeniem. Śpiewając, ukołysał ją.

– Nie bój się, żaden duch, żaden cień, żaden ruch nie zbudzi cię ze snu. Jestem blisko i utulam, zaśnij, będę z tobą.

Przyszła, a wraz z nią, tysiące zapachów lata, miliardy myśli i długie godziny, kiedy smagał go południowy wiatr niosący słoneczne dni i dzikie, niespokojne noce. Tego dnia wybiegł na wzgórze i rozłożył ręce, by czuć jak wieje, niosąc zapachy odległych miejsc. Z każdą sekundą stawał się bardziej wolny. Szczęśliwy, jak dziki koń wypuszczony po tygodniach niewoli. Potem spadły krople ciepłego deszczu i trwał w nim, pokryty łzami nieba. Czysty jak niemowlę.

Widzę ją teraz, jak znika za wielką niebieską górą, tonąc w polnych, kolorowych kwiatkach i opowiadam wam bajkę o dziewczynie, we włosach której śpi światło. Szepczę cicho dziwne słowa, niełatwo wam będzie zrozumieć.

– Wędrowcze, kiedy będziesz samotny, niech spadnie na ciebie mała gwiazda, niech cię prowadzi jak innych prowadzą białe kamienie, wskazując drogę w mrokach samotnych nocy. Tak, wołam cię, obudź się

Dziewczyno o Perłowych Włosach i prowadź go. Czeka-
kaj z perłami pomiędzy niebem a ziemią.

– Śnię? Czy była to prawda? Wszystko, czego te-
raz pragnę, wszystko, czego chcę, było kiedyś w moich
ramionach – Wysoki Sądzie – Bóg mi świadkiem, nie tak
miało być, nie tak!

3.

Zadzwonił domofon. Dwa krótkie dzwonki. Jak
zwykle, by odróżnić znajomego od domokrażców oferu-
jących jajka, ziemniaki, papier toaletowy, tańsze połą-
czenia telefoniczne i gipsowe aniolki. Umówiony znak
wszystkich wtajemniczonych. Zaskoczyło go, że już te-
raz. Wrócił o 16.00, wcześniej niż zwykle, bo też wcze-
śniej, o 8.00, nie o 9.00 pojechał do pracy.

To była ona. To były jej kroki. Wsłuchiwał się w
odgłos butów rozmiaru 39 zawsze, ilekroć był wcze-
śniej. Do drzwi zadzwoniła kobieta, którą kochał.
Pierwszy raz spotkał ją kilka lat wcześniej, w akademiku.
Tamtego odległego piątku siedział przy stoliku przy
oknie, przez które wpadało do ciemnej czeluści pokoju
popołudniowe światło. Drzwi się otworzyły i wszedł
jego współmieszkaniec. Bruno nie darzył go sympatią z
racji upodobania do hałaśliwego przyrządzania śniadań i

innych kłopotliwych bądź szczerze nieprzyjemnych dla współmieszkańców zwyczajów (z których, by nie upadła treść) wymienił wystarczy wieszanie podkoszulków na kaloryferze, celem osuszenia z potu. Zatem stanął Pan Król, bowiem takie dostojne nazwisko nosił ten niecodzienny, i co tu dużo kryć, barwny osobnik. W tych samych drzwiach za jego plecami ukazało się dziewczę o oryginalnej urodzie, o istnieniu której Bruno wiedział, lecz nie dane mu było jeszcze się z wybranką Pana Króla zobaczyć. Stała w szarym, przykrótkim płaszczku, który później tak dobrze zapamiętał.

– A więc to ty – rozpoczął.

– To ona – włączył się w ich pierwszy dialog Pan Król Nieproszony.

– Nie z tobą rozmawiam – uciął jego wylewną rozmowność, jak się wkrótce okazało – nieskutecznie.

– Właściwie wychodzimy, więc możesz się już pożegnać – ciągnął dalej Pan Król Gadatliwy. – Idziemy do kina – dodał z jadowitym uśmieszkiem.

– Zatem współczuję – odparł do dziewczęcia i jako osobnik, któremu nader łatwo przychodziło nadawać ksywki, dodając – Milagros. Uśmiechnęła się i mocno speszona odeszła wraz z niefortunnym wybrankiem, jak się okazało, na różowiutki film z Brytney Spears w roli głównej.

Nazwał ją tak z racji, że słowo „milagros” w którymś amerykańskim, jazgotliwym języku, oznacza cud. Jakiś czas później, znalazł w niej następne lata życia. Dni, tygodnie i miesiące przepelnione miłością, której nikt nie zrozumie, kto choćby raz jej nie doświadczył.

Malwina. Kwiatuszek. Moja M. Malwek. Kropeczki. Kolderka. Wisienki. Przyładki. Kolderka. Źródelko z kamyczkiem. Wysepka. Droga Mleczna. Rylec. Drab. Pies. Pieseczek. Ryj. Ich kod. Nie rozumiesz? Nie staraj się, kod miłości znają wyłącznie dwie osoby.

Pamiętał słoneczne dni, kiedy spacerowali szczęśliwi bez celu i po zupełnie zwyczajnych miejscach, oglądając świat wspaniały oraz piękny. Rozstania i chwile wielkiego cierpienia nieobecnością bez absolutnie żadnego substytutu głosu. Wszystko mówiące słowa piosenki, każde drzewo, kwiat i ptaki ćwierkające tak radośnie. Wszystko tak dobrze pamiętał.

Zmieniały się pory roku i wiosna każdego roku budziła się do życia wspaniała. Tego dnia jeszcze spała, ale w powietrzu intensywniejszy był już jej zapach. Co raz wyraźniejszy i bliższy.

Był 6. dzień kwietnia. Tysiąc czterysta pięćdziesiąty siódmy dzień razem. Otworzył drzwi z radością w sercu, która wypełnia każdego, kto zobaczy w drzwiach tego, kogo oczekuje i kocha. Bruno i Malwina. Ich

ostatni dzień. W jej oczach dostrzegł łzy. Plakała. Chciał ją przytulić, zapytać co się stało, ale rzuciła:

– Przestań! Odsuń się!

– Malwek, coś się stało?

– Nie pytaj o nic, bo nie odpowiem – rozpoczęła, siadając na skraju łóżka, na którym sypiali, po czym dodała, patrząc w oczy – odchodzę.

Nie pytał. Kawa nie smakowała. Samochód zapalił silnik i rozgrzewał się powoli. Biegi wchodziły same, a przepisy i ograniczenia były bez znaczenia. Jechał przed siebie, a na koła nawijały się kilometry. Jechał w stronę zachodzącego najjaskrawszą purpurą słońca. Uciekał. Łzy płynęły po policzkach tak łatwo, jak dźwięki z głośników radia. Potem przyszła samotna i straszna noc, obojętny dzień oraz wieczór nieuniknionego powrotu.

W ich mieszkaniu zastał wszystko identyczne jak wtedy, gdy wyszedł. Tylko w łazience nie było już jej kosmetyków, i z każdego miejsca wyzierała pod postacią najróżniejszych sprzętów. Lampa, którą kupiła w Ikea. Kaktus, którego kupili razem. Książki, płyty, ubrania i zapach, którego nie czuł, kiedy byli razem, a teraz jego nozdrza podświadomie poszukiwały go, jak wyjęty z wanny karp przed Wigilią szuka wody, co pozbawione jest sensu tak samo, jak to, co robił teraz.

I nagle kuchnia. Zlew. Zwykły jak każdy, metalowy, ocynkowany, prosty, taki sam od lat. Wewnątrz, dwie filiżanki po kawie. Nigdy nie pili z nich. Piła ona. Z kimś.

Wszedł do łazienki i na klozet skierował wzrok. Deska podniesiona. Patrzył na kibel i słyszał jej słowa:

– Pamiętaj, że cię kocham.

Wywalil z siebie kolejne porcje wymiocin.

– Kurwa, jak to możliwe? Czuje, jak życie piachem sygnęło mu w oczy. Nic nie widzi. Nie wie, co dalej i wciąż zadaje sobie to pytanie.

Mijają dni i noce. Samotne. Życie toczy się wokół dojazdu do pracy, pracy, powrotu, snu i posiłków nieustalanej treści. Przychodzi do tych murów i płacze. Jak dziecko. Prawdziwymi łzami, nikt tego nie widzi i tylko niewielu rozumie. Tylko ci, którzy sami płakali. Tylko w samotności płacząc ma się z tego pociechę.

Znikła nagle tak, jak ciekły azot w powietrzu. Przepłynęła między palcami jak mgła i choć była tutaj jeszcze przed chwilą, teraz pyta ją, które zdjęcia chce zabrać. Czuje, że jest obca, jak ktoś, kogo nie widział od lat.

Spędza niektóre noce z nim, by zrozumieli, że nie wejdą już nigdy do tej samej rzeki. Nie będą kochankami i nie połączą ich ust nic innego jak tylko przywiąza-

nie. Jaki sens pić to samo piwo, kiedy uleciał gaz? Nigdy nie będzie już na ich ustach słowa „kocham” i ani cienia namiętności. Nie będzie słów: żyję tylko dla ciebie, nie usłyszą ich nigdy. Nie będzie wycieczek do Miasta Karola, kiedy mróz trzaska i na Staroměstskim náměstí obrzydliwej, czeskiej herbaty, która pomimo podłego smaku cieszyła podniebienie i serce. Nie będzie uśmiechów i wysokich dzieci. Nie będzie domu z ogródkiem, kota, psa i nie będzie nas. Nie będzie tego wszystkiego, co jej obiecał i co obiecała. Nie będzie nigdy już nas... Bo nas umarło.

Zostanie żal, że miała odwagę zrobić, to co trzeba było i, co przyszłość przyniosłaby sama. Że spieszyli, co mogłoby być inaczej.

4.

W biurze panował popołudniowy spokój. Czas ten charakteryzowała cisza, brak zajęć, nuda i myśli, że nim duża wskazówka wykona dwukrotnie okrażenie cholernej tarczy, będzie można zamknąć. Teraz zegar wskazywał za dziesięć trzecią.

Przez otwarte okno do wnętrza wpadało świeże, wiosenne słońce i zapach ciepłego powietrza. Po chłodnym marcu nagle przyszły tak gorące dni, że na-

tychmiast wszyscy poczuli lato. Wydało się, że jest tak gorąco, dlatego że wcześniej było tak bardzo zimno. Zima tego roku była najprawdziwsza. Był śnieg, jaki być powinien. Było go dużo i kiedy spadł po pierwszych chłodach, w połowie grudnia, leżał nieprzerwanie przez niemal 120 dni. Przed świętami, w czasie zbiorowych mordów karp, słupki rtęci pokazywały poniżej zero, mocno, bezlitośnie i uparcie. Przez prawie trzy miesiące temperatura nie była wyższa niż -5°C . W połowie lutego był ponad 30-stopniowy mróz, paraliżując na kilkanaście dni ruch na ulicach i skrzyżowaniach. Staruszkowie kiwali głowami, przywodząc na myśl zimy, które pamiętali z młodości, a oczekujących na przystankach spóźnionej trójki, dziewiątki czy piętnastki szlag trafiał.

Beatka zaczęła pracować w pierwsze dni grudnia. Po dniach pełnych euforii, zapału i dreszczyku nowości, kiedy źrenice na każdy dzwonek telefonu czy skrzypnięcie drzwi rozszerzały się jak u polującego rysia, teraz ustąpiły biurowej monotonii i nudzie.

– Hm. Ależ takie promienie słońca są przyjemne – pomyślała, parząc popołudniową inkę z mlekiem. Natychmiast skrzywiła się na myśl, że czuje zbliżający się okres. Zaczynała pęcznieć. Za kilkanaście godzin będzie się czuła jak noworoczny balon. Jej piersi wyraźnie się zaokrągliły i stały się wrażliwe na dotyk.

Tutaj światem dla niej był monitor. Nie licząc oczywiście wielkich okien. Często siadała na parapecie i patrzyła na podwórza. Obserwowała bawiące się na dziedzińcu dzieci, na gołębie zlatujące pod ławeczki i karmiących je ludzi. Okno było również, niestety dla jej płuc popielniczką, z tą różnicą, że mogła je teraz otworzyć. Przepelniony arsenem, butanem, cyjanowodorem i innymi o chemicznie nic niemówiących nazwach substancjach dym wypuszczała z przyjemnością za ramy okna.

Wreszcie będę mogła założyć sukienkę – pomyślała. Ale dziś nuda – rzekłszy to do siebie spojrziała na wiszący na ścianie kalendarz. Wskazujący datę czerwony kwadracik zakuł ją w oczy. Z niezadowoleniem stwierdziła dwie rzeczy. Pierwszą, nieprzyjemną, że przychodząc tutaj zapomina przesunąć ów kwadracik na aktualną datę. Druga była znacznie bardziej nieprzyjemna, wskazywała bowiem, że do dnia 10. brakuje jeszcze równo dwa tygodnie. 10 był dniem Matki Boskiej Piętniężnej, jak mówił Igor. Czyli dniem, w którym na jej konczie pojawiały się cztery nowe, następujące po sobie cyfry. Szkoda, że nie pięć, ale dobre i to.

Jak to jest, że mam tyle czasu na wszystko, a zawsze, kiedy popatrzę na kalendarz, to nie wskazuje jak trzeba? – dziewczyna leniwie poddawała się myślom.

Podeszła do ściany. Przesunęła znacznik na datę 26 kwietnia, czwartek.

Usiadła na parapecie i jej myśli znów uciekły gdzieś daleko. Słońce podkreślało jej jasny i ciepły kolor oczu. Pracuje tu już prawie pół roku – myślała. Czasem przyjdzie ktoś i wtedy nie nudzi się, bo ma co robić. Ale są również takie dni, kiedy przez 8 godzin odbierze 5-6 telefonów, na chwilę wejdzie tu jakiś człowiek i zaraz potem sobie pójdzie. Tak jest generalnie, przeważnie, normalnie jak dziś. Chyba to jednak dobrze – pomyślała. W końcu, kiedy chcę, mogę wyjść do sklepu czy gdziekolwiek indziej.

Nagle z zamyślenia obudził ją dźwięk komunikatora sygnalizujący, że ktoś z listy kontaktów włączył komputer. Pokręcone, jasne kosmyki włosów opadły jej na usta, odsunęła je za ucho i postanowiła sprawdzić, kto stał się dostępny. W tej samej chwili odezwał się dzwonek biurowego telefonu. Odebrała go zaraz.

– Travelsun, słucham?

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie wyjazdu – odpowiedział głos w słuchawce – ach, więc to jakiś klient – pomyślała, nim odpowiedziała. Kilka minut później skończyła i przez głowę przeszła jej myśl, jacy ludzie są dziwni. Czasem pytają o tak oczywiste sprawy, jakby chcieli zapytać:

– Proszę panią czy jutro wstanie słońce?

– Myślę, że tak – zawsze uprzejma, z uśmiechem w głosie i brakiem na twarzy odpowiadała – my jako Travelsun zrobimy wszystko co w naszej kompetencji, aby wstało. Mogę zapewnić, że wstanie.

– A czy tego dnia będzie również w powietrzu dużo powietrza?

Następne pytanie takich rozmów starała się zawsze zgadnąć.

– Tak, będzie czym oddychać, a jeśli nie będzie przez kilka dni, to troszkę będzie trzeba poczekać, ale potem znów będzie można oddychać normalnie, proszę pana. Odkładając słuchawkę, uśmiechnęła się do absurdalnych myśli. Dzwoniący oczywiście nie pytali o słońce i powietrze, ale o warunki wypoczynku, wycieczki fakultatywne i ceny. I nawet to nie było w tym wszystkim najgorsze, że zawsze pytali o to samo, ale o te same sprawy kilkakrotnie, co mocno ją na początku drażniło, a teraz kiedy przywykła, już tylko ją te pytania nudziły.

Poczuła, że pęcherz zaczyna ją uciskać i za kilka godzin będzie wiedziała gdzie natura w jej podbrzuszu umieściła jajniki. Tak, już przez tym telefonem miałam iść do łazienki. To przez ten kalendarz zapomniałam – pomyślała, szukając wzrokiem wśród rozrzuconych na

biurku papierów klucza do toalety. Kiedy wróciła zaniepokoiła ją cisza. Pamiętała, że grało radio, gdy wychodziła.

– Coś znów się w nim przestawilo. Pokręciła w poszukiwaniu stacji i szybko znalazła.

– Do 22 stopni, noc pogodna, nad ranem... – mówił głęboki jak Bajkał głos radiowca.

– Cwany jesteś, bo możesz podawać wiadomości przyjemne dla ludzi stęsknionych po zimie ciepła i słońca – odparła do radiowca, sama zaskakując się, że mówi do siebie. Zaraz skończy, pogoda to zawsze ostatni punkt programu każdych wiadomości – myślała. Nie lubiła wiadomości. Zbyt dużo w nich polityki.

Może by tak dziś iść na jakieś naleśniki albo pierogi? Nie wiem czy się jeszcze oplaca – myślała, spoglądając na zegar – zaraz będzie trzecia, a jak wyjdę wcześniej będę w domu dziesięć po piątej. A, miałam sprawdzić, kto zrobił się dostępny – przypomniała sobie. Przesunęła kursor na żółte słoneczko gadu-gadu w prawym, dolnym rogu. „Arkadiusz jest dostępny” – żółte słoneczko to właśnie oznaczało.

Dawno się nie widzieliśmy – pomyślała o koleżdze. A tam, i tak nie mam nic do roboty. Może pogada ze mną chwilkę – postanowiła zacząć Arka.

Spotkała go w NL. Już przywykła, nie mówi i pisze Holandia, ale po prostu NL. To skrzywienie zawodowe, które swoje źródło ma właśnie w kontaktach na gadu-gadu, które jest już teraz też tylko gg.

W NL była w zeszłym roku. Po tygodniu nauki od rana do wieczora z wyjątkiem niedziel miała dosyć. Chciała wracać. Tego sobotniego wieczoru jej holenderska, wredna kierowniczką wyżyła się na niej za to, że nie była gruba, brzydka, piegowata, zgorzkniałą starą panną jak ona. Rozplakała się. Wracając z płaczem do mieszkania, w którym wegetowała z innymi dziewczętami, zobaczyła znajomy kształt. Dziewięcioosobowy Opel Vivaro, w kolorze maków, stał kołami jednej osi na chodniku. Przyjechała tutaj tym samochodem. Poczula impuls i wbiegła do domku, gdzie spali kierowcy. Zaczęła pukać. Łzy ciekły jej po policzkach. Otworzył wysoki blondyn w slipkach, przecierając oczy z zaspania, z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Zabierz mnie stąd!

– Co?

– Zabierz mnie stąd, słyszysz? – krzyknęła i wybuchła płaczem ze zdwojoną siłą.

– Chodź – chłopak chyba nadal nie rozumiejąc, rozłożył ręce, chwycił ją za ramiona i przytulił. Kiedy

się uspokoiła i przecierała mokre od łez oczy, dodał – jutro o 20:00 wracam. Jak chcesz, to cię zabiorę.

Chciała. Bardzo chciała. Zabrał ją i tak się poznali. To był Arek. Wracając, całą drogę z nim przegadala, śmiejąc się, żartując i rozmawiając o rzeczach błahych i najważniejszych. Oczywiście o premii musiała zapomnieć, choć wykręcała się problemami rodzinnymi to i tak straciła tę pracę. Od tamtej chwili spotykali się często. Zapraszał ją do kina i na kolacje. Był miły i wesoly, ale wkrótce okazało się, że chciał, jak niemal każdy, czegoś więcej, a ona, no cóż. Nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. Z taką urodą przyzwyczaiła się do ciągłych propozycji ze strony mężczyzn i traktowania w sposób, jakby jedynym, co miała do zaoferowania światu, było jej ciało.

Owszem, podobało się jej to i lechtało kobiecą naturę, tyle, że dawno przywykła do tego i zaloty nie robiły na niej żadnego wrażenia. Był jednym z nich. Typowy facet, których spotykała dziesiątki, jeśli nie setki. Miły koleś.

– Co tam u Ciebie Areczku? – wystukała na klawiaturze smukłymi palcami. – Dawno się nie widzieliśmy, prawda? – wysłała. Patrzyła w kwadratowe, pomarańczowe okienko na ekranie i czekała.

Czasem jej odpowiadał. Tyle, że bardzo rzadko. Zwykle pisał bardzo wolno i z okropnymi błędami. Był właścicielem tej firmy, która ich wtedy wiozła. Kiedy wróciła, Travelsun, tworzył filię w jej mieście. Z racji swojej pracy Arek posiadał „szerokie i rozległe kontakty wśród wszystkich szefów”, więc „załatwił” jej pracę, powodowany z pewnością czymś więcej niż tylko chęcią pomocy koleżance. Teraz nie odpowiadał na wirtualną zaczepkę.

– Puk, puk... – wystukała.

Cisza. Spojrzała za monitor na karton z sokiem. Obešla biurko i nalala sok do szklanki z ciętego szkła. Dziś Arek chyba znów nie ma czasu odpowiadać, jak zwykle zresztą – pomyślała czekając na odpowiedź.

Postanowiła podlać kwiatki. Kiedy wlewała wodę w pierwszą doniczkę, usłyszała cichy dźwięk komunikatora. Ktoś przesyła wiadomość. Aha, a więc odpowiedział – uśmiechnęła się do swoich myśli. Nie widziała jeszcze treści wiadomości i tę chwilę lubiła najbardziej. Pociągnęła jeszcze jeden łyk pysznego soku i wróciła przed monitor. W radiu cichutko zaczynał się jakiś egzotyczny utwór rockowy. Jej wilgotne usta miały teraz słodki smak. Kliknęła na żółtą chmurkę z napisem „Arkadiusz przesyła wiadomość”.

– Mam na imię Bruno – wyświetliło się na ekranie.

Co masz na imię? To znaczy... Jak masz na imię? – nie rozumiem, pomyślała. Przecież na tym gg zwykle był Arek albo jego brat, a nie jakiś tam Bruno. W ogóle co to za imię? Nic nie rozumiem?! Co Arek znów kombinuje? Aha, pewnie zebrało mu się na żarty i chce ją „wkręcić” w jakąś nieprawdziwą historię, aby śmiać się z niej do rozpuku.

– Jak to Bruno, Areczku? Czy Ty znów mnie na coś nabierasz? – wysłała. Po chwili nadeszła odpowiedź.

– Jestem jego pracownikiem. Nowym pracownikiem. Naprawdę nie mam na imię Arkadiusz.

– Jak to?

– Tak to.

Odpowiedź otrzymała niemal natychmiast. Tak szybko Arek nigdy jej nie odpowiadał. Coś mi tu nie gra, nic mi nie mówił o jakiś pracowniku, ech, pewnie znów się zgrywa – przemknęło jej przez myśl.

– To bardzo ładne imię, wiesz? – zapytała kogoś, z kim rozmawiała. To mógł być on, ale jednocześnie szybkość odpowiedzi, brak błędów oraz to, że odpowiedzi były pisane z wszystkimi polskimi znakami nie pasowało do wizerunku kolegi zupełnie.

– Tak?

– Oryginalne – dodała.
– Oryginalne..., tak?
– Ale ładne.
– Ale... hm – podchwycił.
– To taka... Zagadka na sam początek.
– Zagadka? – chyba naprawdę się zainteresował.
– Tak.
– Hm...
– Myślisz, że umiałabym poprawnie zdrabniać to imię?
– Myślę, że tak.
– Mnie przychodzi na myśl tylko: Brunonku – pi-
sała.
– Ładnie.
– Tak?
– Mnie też się podoba.
– A Bruno?
– Co Bruno?
– Podoba Ci się?
– Jak Bruno? Jak podoba mi się? – dziwiła się. –
Przecież tak masz na imię, po prostu, bez zdrobnień.
– Nieprawda.
Co znaczy nieprawda? O co chodzi? Siedziała pochylo-
na nad monitorem a w odbiciu światła na policzkach
zapaliły się jej rumience.

– Samo w sobie – odparł.

– Nie rozumiem... Brunonku... Jak to samo w sobie?

– Bruno to zrobienie od Brunon.

No jasne! Facet ma cholerną rację. Idiotka! Kretynka! – Dziewczyna teraz dopiero się zorientowała i aż trzepnęła się dłonią w czoło. Hm... – uśmiechnęła się. To na pewno nie Arek. Zbyt szybko odpowiada – pomyślała jednocześnie, poczuwszy dreszcz. Tam jest ktoś, kogo nie zna. Jeszcze.

– Ale dziękuję bardzo za miłe słowa – zobaczyła na monitorze. Zrobiła jeszcze jeden łyk soku i napisała.

– A więc Brunonie... Siedzisz sobie w biurze i jesteś pracownikiem Arka, tak? – czuła, że ogarnia ją ciekawość.

– Tak.

– W takim razie powiedz, gdzie jest Arek?

– Pojechał do Holandii.

Jej liczne kontakty utrzymywane ze znajomymi za pośrednictwem gg w pracy wyrobiły w niej zdolność bardzo szybkiego pisania na klawiaturze komputera, ale ktoś w Arka biurze był szybszy.

– Pojechał na dziewczyny? – zapytała i niemal natychmiast zobaczyła odpowiedź.

– Raczej na autobusy.

Roześmiała się. Teraz była pewna. To nie może być Arkadiusz. W takim razie kim jest jego pracownik?

- Jak to na autobusy, nie rozumiem?
- Pojechał oglądać. Ma zamiar jeden z nich kupić.
- Od kiedy u niego pracujesz?
- Od soboty.
- Od której, od tej?
- Nie, od tamtej.

Wybuchła znów śmiechem.

- W takim razie od prawie dwóch tygodni, tak?
- Tak, dokładnie jestem tu dziesiąty raz.
- Ach... Rozumiem, pracujesz również w soboty?
- Również w soboty, zgadza się.
- I jak jest?
- W soboty jest najwięcej pracy.
- A jak jest ogólnie?
- Ogólnie jest... Hm... Dopiero zaczynam się

odnajdywać.

- No tak. Początki są zawsze trudne.
- Tak powiadają.

Jak to możliwe – pomyślała – że ktoś nowy od prawie dwóch tygodni jest tam, a ona nic o tym nie wie i nudzi się w biurze.

- Naprawdę masz na imię Bruno?
- Tak.

Odpowiada „tak”! Nie pisze, jak wszyscy „no”, tylko „tak”. Nie zna nikogo takiego. Wymówiła głośno jego imię – Bruno. Potem jeszcze raz się uśmiechnęła. Nie zna nikogo, kto nosi takie imię.

– To raczej rzadkie imię, prawda?

– Zadza się... tzn. zgadza się.

Niemal natychmiast poprawił błąd. Nie musiał tego robić, doskonale wiedziała, co miał na myśli, a mimo to zrobił to! Nie zna również nikogo, kto by się poprawiał po tak blahym błędzie.

– Ale nie do końca – kontynuował.

– Jak to nie do końca?

– Nie do końca rzadkie.

– Dlaczego?

– Wielu ludzi ma tak samo jak ja na imię. Ciekawe – pomyślała – nie znam nikogo.

– Przeważnie mężczyźni.

– Przeważnie.

Starła się przypomnieć kogoś, kto ma tak na imię. Uśmiechnęła się i gdy zastanawiała się, co odpisać, wiadomość od niego ubiegła jej zamiar.

– Albo miał... np. Bruno Schulz. W tej samej chwili pomyślała o tym właśnie. Ubiegł ją.

– Więc, jeśli jeden z najwybitniejszych pisarzy na świecie ma tak samo na imię jak Ty... To chyba nie do końca jest to rzadkie imię?

– Tak, to fakt... Bruno Schulz miał tak samo na imię, jak ja.

– Mówisz, że to Bruno Schulz ma tak samo jak Ty na imię. A nie jest przypadkiem odwrotnie, hm? – rozmówca wydał się jej troszkę zarozumiały.

– Uhm... – pojawiło się na monitorze – myślę, że to on miał tak na imię jak ja. Tak, teraz poczuła, że ją denerwuje jego zarozumiałstwo.

– A Ty, Droga Nieznajoma Wirtualna Rozmówczyni – jak masz na imię? – zadał dzisiaj pierwsze pytanie. Niemal zatkało ją formą i treścią. Zapomniała o tym. Zapomniała całkowicie. Boże, jak mogła? Przecież każde dziecko wie, że jeśli poznaje się kogoś nowego, trzeba się przedstawić. Nie zrobiła tego. Co za wstyd.

– Moje jest chyba trochę mniej popularne – odparła. – Mam na imię Beata.

– W takim razie bardzo mi miło Beatko. Masz bardzo ładne imię. Pięknie brzmi. Jest takie... Dźwięczne. Spróbuj je wypowiedzieć głośno. Zrobiła jak prosił, ale nie wydało się jej inne niż zwykle.

– I co, poczułaś to? Słyszałaś? Jest takie ciepłe? Takie kobiece i pachnące. Przepelnione pozytywną

energiją i wibracjami strun głosowych, jak szepty kochanków w czasie miłości.

– Co to za gość! – myślała. Zrobiło się jej gorąco. Nie dość, że jest zarozumiały do szpiku kości, to na dodatek od razu opowiada jej „takie” rzeczy. Nie, żeby to nie było miłe, ale chyba jest to zbyt... hm... – Przez moment nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa – zbyt obcesowe, bezceremonialne. Rozdrażnił ją. Zaczęła pisać – Brunonie, to zbyt zuchwały komplement – ale już nadeszła kolejna wiadomość:

– Droga Beatko, naprawdę kierujesz się uczuciem?

Skasowała i jeszcze bardziej rozdrażniona odpisała niezgodnie z prawdą:

– Dlaczego naprawdę? I niby dlaczego?

– Ponieważ Beatka to kobieta, którą wypełnia światło, jasnowłosa, która kieruje się w życiu sercem, dokonując wyborów. Biorąc pod uwagę łacińskie pochodzenie, jest to żeński odpowiednik Beatus, oznaczający słowo „błogosławiona”.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Czym?

– Właśnie tym.

– No więc?

– Jesteś błogosławiona bądź w stanie błogosławionym?

– Powiem Ci, kiedy indziej, dobrze? – nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc postanowiła grać na zwłokę.

– Dobrze... Ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Opowiem Ci coś jeszcze o Twoim imieniu, chcesz?

– Chcę...

– Jeśli zdrobnić Beata, będziemy mieli Beatkę, makaronizując Beti, tak z angielskiego Bee, czyli Pszczółkę albo... hm... Tytkę... i... Atkę.

– Jesteś normalny?

– W jakim sensie?

– W takim, że jak idziesz ulicą to ludzie zwracają na Ciebie uwagę?

– Tylko piękne kobiety.

– Czyli uważasz się za normalnego?

– Mniej więcej... Ze wskazaniem na mniej.

– Aha... To dobrze. Jak na mój gust to nie całkiem jesteś normalny.

– Why?

Co to ma znaczyć? – pomyślała. „Why”. Przecież to angielski! Ale fakt. Jest krócej, więc to ma sens. Uśmiechnęła się do monitora.

– Przecież zwykli ludzie nie wiedzą takich rzeczy.

– A kto powiedział, że jesteśmy zwykłymi ludźmi?

No tak. Miał trochę racji. Przecież każdy jest inny.

– Nie odpowiedziałś – znów przysłała wiadomość.

– Tak?

– Tak.

Przesunęła archiwum wiadomości do góry, próbując odszukać tymczasem już pisał.

– Napisałaś, jakobym był nienormalny. Pytam dlaczego?

– Aha... No, bo ludzie zazwyczaj nie wiedzą takich rzeczy.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz...

Postanowiła zmienić temat. Czula się nieswojo. Był pewny siebie, ale jednocześnie w bardzo subtelny i delikatny sposób, tak jakby znał swoją wartość i niczego się nie bał.

– Ale innych, sławnych mężczyzn noszących Twoje imię chyba nie ma już tak wielu – uśmiechnęła

się i po chwili dopisała – którzy mają na imię, tak samo jak Ty jest raczej niewielu.

– Przede wszystkim Giordano Bruno – pisał – chociaż tu akurat jest to nazwisko, więc nie wiadomo czy się liczy, ale Bruno z Kolonii, święty. Bruno Bonifacy z Kwerfurtu, też święty, Bruno Jasiński, poeta, Bruno Kiciński, dziennikarz. Chyba wystarczy? – pisał z zadziwiającą szybkością.

– Masz racje Brunonku... Chyba tak. Zadziwiasz mnie...

– Z Kicińskim czy z Jasienickim?

– Z Bonifacym z Kwerfurtu.

– Aha ☺.

Prawdę mówiąc, zaimponował błyskotliwością. Sypał nazwiskami, jakby znał tych ludzi i wiedział wszystko.

– Dobry jesteś.

– Daj spokój – odpowiedział, a jej zrobiło się nagle słodko. Znała to uczucie. Czasem czuła to, kiedy widziała jakieś dzieciątko w wózku albo gdy była na spacerze z tatą w parku. To jedno zdanie rozmiękczyło jej nastawienie. Nie był już zarozumiały, ale poczuła, że to, co pisze, jest jego naturalną odpowiedzią.

– A co oznacza to imię? – zapytała.

– To?

– No... Bruno.

– Jest pochodzenia germańskiego – znów zaczął sypać z rękawa informacje, o których w życiu nie słyszała, a na pewno nie byłaby w stanie ich zapamiętać, choć może powinna – wywodzi się od słowa „brün” oznaczającego niedźwiedzia. Forma Brunon powstała pod wpływem łacińskim. W Polsce imię Bruno zanotowano już w 13. wieku. Myślisz, że jest trafne?

Niech go szlag! Skąd on wie takie rzeczy? Była teraz zszokowana. Co za mądrała! Postanowiła, że nie będzie grać głupiej gęsi i też coś napisze!

– Nie wiem... Nigdy Cię nie widziałam. Nie wiem o Tobie nic. Nawet ile masz lat i jak wyglądasz, Mój Drogi. A masz tyle włosów co niedźwiedź?

– Troszkę mniej – nim odpisała, nadeszła kolejna wiadomość – ale zapewniam, Apollo przy mnie to pestka.

Znów ją rozbawił i tym razem prawie do łez. Spodobał się jej. Miło się z nim gawędziło. Nie pozował jak wszyscy, którzy ją widzieli po raz pierwszy i udawali kogoś, kim nie byli, chcąc zagwarantować sobie prawo do zdjęcia jej majtek.

– Rozbawiłeś mnie.

– Cieszę się bardzo.

– Ja też.

– Daj spokój!

Znów to zrobił! Znów użył tego sformułowania. Rozmiękczał ją tym swoim „daj spokój”. Tak się nie pisze – myślała – tak się mówi.

– Kiedyś coś czytałem o imionach przy okazji pracy magisterskiej i stąd to wiem – odpowiedział.

– O, ja też muszę skończyć swoją... Jejku... Zupełnie mi to nie idzie! I bardzo się tym martwię – przypomniła sobie.

– Jak chcesz, pomogę Ci.

Ciekawe jak? – pomyślała, spoglądając na zegarek. Było już po 5! Pisząc z Nieznajomym zapomniała o bożym świecie. Za 5 minut musi wyjść z biura, aby zdążyć na autobus.

– Musze kończyć Brunonku! Idę do domu. Będziesz jutro na gg?

– Tak, będę. Miłego wieczoru Bee!

– Bee?

– Zdrobnienie.

– Zdrobnienie?

– Internetowe... Bee od Bea... W sensie Pszczółka. Fonetycznie.

– Niech będzie Brunonku.

Hm... Tego też jeszcze nie było, aby ktoś mi życzył miłego wieczoru – pomyślała, zamykając biuro. W autobusie myślała wciąż o nim. Bardzo dobrze się z nim roz-

mawiało. Kim jest ten Bruno? Ciekawe jak wygląda? Ile ma lat? Miły był bardzo. Taki nie nachalny i tak szybko się z nim rozmawiało, a czas tak prędko zleciał. Niepotrzebnie się na niego zdenerwowałam – pomyślała, uśmiechając się do szyby i zmieniających się za nią obrazów.

**To jest darmowy fragment pełnej publikacji.
Więcej na www.wydawca.net.**

© Copyright first edition by Artur Szulc 2007

© Copyright by Aleksander Sowa 2007

Projekt okładki: Aleksander Sowa

Fot: www.sxc.hu

ISBN: 978-83-932553-2-0

Korekta: Marzena Jaguszewska



Aleksander Sowa

Wydawnictwo Autorskie WYDAWCA

Plac Teatralny 8-9/101

45-056 OPOLE

Sprzedaż i dystrybucja: www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie III, zmienione i poprawione, 2011 r.

Publikacja przystosowana do czytania na wyświetlaczach nie mniejszych niż 6-calowe.